

Marolambo, dnia 30 października 1985 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!  
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Doroczne zabranie katechetów w pierwszej połowie lipca w Marolambo prowadził ks. Lahady Pascal, Wikariusz Generalny. Przybyły 242 osoby, chociaż w poprzednich latach nigdy nie było więcej niż setka. Posiłki musiały być podawane w trzech ratach, zaś do spania została przystosowana nawet scena w odremontowanym domu dawnej szkoły katolickiej. Ta sala spełnia rolę sali teatralnej i kinowej, a także jest salą zebrań i spotkań. Przybyli katecheci i nauczający katechizmu z 84 wiosek, zabrakło przedstawicieli z trzech wiosek. Obecnie liczba wspólnot wzrosła do 98, więc jest duży postęp. Przybyło 11 wiosek przez dwa ostatnie miesiące pomimo naszej nieobecności w Marolambo.

Bezpośrednio po tych przeżyciach i doświadczeniach pojechaliśmy do szkoły języka malgaskiego prowadzonej przez Benedyktynkę, Malgaskę, w Ambositra. Do tej pory nigdy nie uczyliśmy się porządnie języka malgaskiego. Teraz już wiemy, jakich głupstw musieli wysłuchiwać ludzie przychodzący do nas. Siostra zgodziła się prowadzić ten kurs tylko dla pięciu uczniów: nas przybyłych w pierwszej grupie na Madagaskar w 1980 r.

Ambositra jest miastem położonym na płaskowyżu, na poziomie 1.300 metrów nad poziomem morza. Wokół niewielkie góry, krajobraz podobny, jak w okolicy Kielc czy Świętego Krzyża. Lasów jest mało. Teraz władze chciałyby zalesiać, ale ludzie wypalają trawę, która szybko odrasta i świeża jest lepszym pokarmem dla ich bydła. Lecz ogień niszczy sadzonki i młode drzewka. Jak zwykle, wszystkim nie można dogodzić. Kary za wypalanie są bardzo duże, ale w niektórych wypadkach wieś woli zataić sprawcę i wspólnie zapłacić bojąc się zemsty winnego. Nieraz kary są nakładane na wszystkich mieszkańców wioski, jeżeli sprawca jest nieznan.

Do tej pory właściwie nigdzie daleko po Madagaskarze nie podróżowałem. Do Ambositry z Marolambo jest w linii prostej tylko 150 km, my zaś przejechaliśmy około tysiąca km. Jeśli macie mapę pod ręką, znajdźcie następujące miasta: Marolambo - 130 km - Mahanoro - 260 km - Tamatawa - 352 - Antananarivo - 250 km - Ambositra. Razem 992 km. Podróż trochę nużąca, jechaliśmy przez pięć dni. Po raz pierwszy widziałem drogę budowaną przez Chińczyków (ponad 200 km). Na niektórych odcinkach bardzo dużo zakrętów, czasami tylko dlatego, aby samochody mogły podjechać albo zahamować na stromiznach. Widziałem dwa samochody obok drogi, wyciągane przy pomocy dźwigów. Wypadków jest dużo, ale aż dziw bierze, że nie ma więcej przy takiej „kulturze” jazdy i stanie technicznym pojazdów. Pomimo dalekiej drogi postanowiliśmy jeździć tam co roku. W sklepach, zwłaszcza prowadzonych przez braci w Ambositra i przez włoskiego księdza w Fianarantsoa (tylko dla misjonarzy), zaopatrzenie jest doskonale. Niektóre rzeczy są tańsze, niż w Europie pomimo opłacenia kosztów transportu i cła. Tylko jak oni to robią? Tajemnica, cud...

Ambositra jest miastem sporym (15 tysięcy mieszkańców), robi dobre wrażenie. Budynki są murowane, przeważnie piętrowe. Kościołów katolickich jest przynajmniej pięć, są cztery zgromadzenia żeńskie. Imponująca jest katedra (choć Ambositra nie jest diecezją). Duży dom księży Jezuitów ma wiele pokoi gościnnych i tutaj mieszkają misjonarze uczący się języka malgaskiego na siedmiomiesięcznym, pełnym kursie. Atmosfera bardzo miła. Szkoła przy klasztorze Sióstr Benedyktynek odległa o 10 minut drogi. Mieliśmy zajęcia rano i po południu. Chodziliśmy też odprawiać Msze Święte w ramach praktyk językowych, ale przecież to już robimy od dłuższego czasu.

Przy okazji zwiedziliśmy okolicę. Byliśmy w Fianarantsoa, stolicy południowego Madagaskaru, goszcząc u polskich Kamilianów. Ci właśnie ukończyli budowę dużego, ładnego i funkcjonalnego klasztoru wraz z częścią przeznaczoną na szkolenie personelu medycznego na drugim piętrze z oddzielnym wejściem, pomysłowo wykorzystując kształt terenu: mostek łączy

drugie piętro domu z ulicą. Wkrótce ojcowie zakończą budowę dużej kaplicy (25x12 metrów) na terenie szpitala.

Ojcowie Kamilianie zawieźli nas do pobliskich miejscowości: Ranomafana, Maromby i Marana. W Ranomafana (czyli „Ciepła Woda” u źródła ma +45°C) są baseny kąpielowe i natryski. Piękne widoki po drodze. W Maromby jest klasztor Cystersów. Ci zlikwidowali hodowlę bydła z powodu częstych kradzieży, ale nadal mają winnicę i produkują różne wina, także mszalne. W ich kaplicy ołtarzem jest ogromny głaz z obrazem wyrytym przez przełożonego. Zapytaliśmy, co przedstawia rysunek? Nasz przewodnik, Cysters, odpowiedział, że zdaniem jego przełożonego każdy powinien odpowiedzieć sam sobie na to pytanie. „A co to jest, zdaniem Ojca”? - „Ja jeszcze nie odpowiedziałem sobie” – odpowiedział bardzo poważnie nasz poważny przewodnik. Obok klasztoru jest duży dom rekolekcyjny, często zajęty przez pragnących ciszy i spokoju na modlitwę. Dzwony stojące obok wejścia do kaplicy zdobią jeden z katechizmów malgaskich.

Marana, to szpital zbudowany przez polskiego Jezuitę, Ojca Jana Beyzima, przed 75 laty. Popularna książka o jego dziele („Ojczyzna z wyboru”) nie oddaje prawdziwej wielkości tego człowieka. Piętrowy dom służący budowniczemu za mieszkanie i kaplicę jest utrzymywany w stanie niezmiennym. 150 metrów dalej właściwy szpital nadal funkcjonujący. Już 75 lat temu miał wodę bieżącą i ciepłą! W tym czasie w Europie nie wszystkie szpitale mogły sobie na to pozwolić. Klasztor sióstr jest połączony ze szpitalem i kaplicą, a właściwie dużym, murowanym kościołem. W kaplicy obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w ramie rzeźbionej przez O. Jana Beyzima. Tylko tyle pozostało z neogotyckiego ołtarza po reformie soborowej, tutaj nadgorliwie przeprowadzonej. W tej kaplicy niedzielną Mszę Świętą często odprawia Ksiądz Arcybiskup z Fianarantsoa, który nie mając zajęć przychodzi na pieszo te 4 km). Na wieży wydzwania także kwadrans zegar zrobiony przez O. Beyzima, nadal wskazując czas bardzo dokładnie. Las zasadzony przez Ojca Jana Beyzima jest dowodem jego długowzroczności i jeszcze teraz daje dodatkowy dochód trędowatym przygotowującym na sprzedaż drzewo do gotowania kupowane przez mieszkańców miasta. Obok szpitala znajduje się cmentarz. W miejscu centralnym grób Ojca Jana Beyzima i innych osób tu pracujących, duchownych i świeckich. Niektórzy zmarli daleko, ale chcieli być pochowani przy tym szpitalu. Pomiędzy domem Ojca Jana Beyzima, a szpitalem, znajduje się nowe leprozorium złożone z domków dwurodzinnych (nie ma więc charakteru szpitala) i nowoczesnego ambulatorium. Widziałem trędowatych, którym rany opatrywały pielęgniarki, dawne uczennice sióstr. Żartując zapytaliśmy chorych, czy nie boją się nas, białych? Jedna z trędowatych odpowiedziała: „biały też człowiek”.

Po miesięcznym kursie języka malgaskiego odprawiliśmy roczne rekolekcje słuchając konferencji o modlitwie z taśmy magnetofonowej. Tak też można. Siostry przygotowywały nam polskie obiady. Nauczyli je polscy Kamilianie z Fianarantsoa, często zatrzymujący się w Ambositra jadąc do stolicy.

Niektórzy z nas zwiedzili też sąsiednie misje. W Fandriana spotkali Polaka, który w 1947 roku przybył jako żołnierz we francuskiej legii cudzoziemskiej i tłumił powstanie Malgaszy. Po dwóch latach powrócił, aby ożenić się z zapoznaną wówczas Malgaską. Obecnie do Pana Misia należy połowa domów miasteczka, wiele sklepów, a także kilka autobusów.

Trzech współbraci uczestniczyło w poświęceniu kościoła ufundowanego przez włoskiego księdza pracującego w Stanach Zjednoczonych. Jego brat jest ekonomem diecezji Fianarantsoa. Każdy z uczestników obiadu otrzymał pamiątkowy kapelusz wyplatany ze słomek. Wielkie święto pozostanie niezapomniane szczególnie dla sióstr, którym bardzo spieszyło się do domu i nie pozostały na obiedzie w Ivato. Nieco później wszyscy korzystający z gościnności katolickiej wspólnoty przejeżdżali obok tych głodnych sióstr reperujących swój samochód już 5 km od nowego kościoła. Siostry przed wieczorem nie zdążyły dojechać do domu. Zaś ksiądz ekonom wioząc swego brata fundatora miał inną przygodę. Wół postawił nogi na masce ich samochodu i spokojnie odszedł. Koszt naprawy silnika wyniósł 330 dolarów. Znawcy twierdzą, że to z powodu zlekceważenia malgaskiego zwyczaju. Żal im było pieniędzy na kupienie wołu z okazji otwarcia nowego domu (Bożego), więc sam wół załatwił po swojemu wymuszając stosowną ofiarę.

Przy okazji dowiedziałem się też o innym wypadku, który był wynikiem pomyłki obsługi stacji benzynowej przy całkowitym i bezmyślnym zaufaniu misjonarzy. Zamiast ropy napędowej nalano benzyny. Po trzydziestu kilometrach wysokoprężny silnik rozleciał się, ale misjonarze nie ponieśli żadnej szkody poza ceną kupna nowego silnika.

Zdobyłem też kilka cennych doświadczeń. Czytając książki Arkadego Fiedlera albo moje listy nie myślcie, że są to opisy klimatu czy zwyczajów malgaskich. Wyspa jest dwukrotnie większa od Polski i ma bardzo różne warunki klimatyczne. Taki błąd znajduje się w książce „Ojczyzna z wyboru”. Piwnic pod szpitalem Ojca Beyzyma nie ma, bo niepotrzebne. Arkady Fiedler mieszkał w domu na palach zbudowanym w klimacie bardzo wilgotnym, jak w Marolambo. Tu są dwie pory: pora deszczów i pora deszczowa. Zaś na płaskowyżu i zachodniej części wyspy jest pora deszczowa od Bożego Narodzenia do Wielkanocy, ale od Wielkanocy do Bożego Narodzenia deszcze nie padają i domów na palach nie buduje się. Zresztą szpital Ojca Beyzyma jest murowany.

W Ambositra, mieście położonym w kotlinie, przeżyłem pełne 5 tygodni tylko dzięki dobrym lekarstwom znalezionym w apteczce Ojców Kamilianów w Fianarantsoa. Ale też ja nie byłem pierwszym misjonarzem z kłopotami. Przede mną już kilku musiało wyjeżdżać na wybrzeże z powodu ataków astmy. Niektórzy stracili wiele zębów i ja też myślałem o wyrwaniu przynajmniej dwóch. Już umawiałem się z tamtejszym dentystą, ale po powrocie do Marolambo ból ustąpił, opuchlizna zniknęła, ataki astmy ustąpiły. Byłem tak osłabiony, że w drodze do domu zatrzymałem się w misji, przez którą przejeżdżamy jadąc do naszego Księdza Biskupa. Ja przez dwa dni odpocząłem, gdy tymczasem współbracia przebywali w Tamatawie.

We wrześniu i październiku odwiedziłem wszystkie 28 wiosek w moim sektorze, aby powiedzieć w każdej „do widzenia” - jeśli nie na ziemi, to w niebie. Malgasze w pożegnaniu mają słowa: „żegnamy się nie na wieczność, ale do ponownego spotkania”. W odpowiedzi prezydent wspólnoty albo katecheta powtarzał za mną, że ze zmianą księdza nie zmienia się wiara ani parafia. Ludzi mówili mi: „szkoda, że ksiądz już odchodzi”. Ale ci sami za miesiąc powiedzą następcy: „cieszymy się, że ksiądz do nas przyszedł”, bo co innego mają powiedzieć? Czyż nie jest tak i w Polsce? W niektórych wspólnotach odprowadzali mnie daleko poza wioskę śpiewając, jak nigdy dotąd. Widoczna była ich wielka radość... z mojego odejścia.

W jednej wiosce przeżyłem prawdziwą radość. Udzieliłem Chrztu Świętego dwom siostrze, które przygotowywały się same przy pomocy katechizmu otrzymanego przed trzema laty. Nikt ze starszych nie interesował się nimi. Z pewnością niewiele wiedzą, ale zasłużyły na przyjęcie do Kościoła Katolickiego swoją gorliwością i praktycznym nawróceniem (choćby przez świętowanie niedzieli okazane przez naukę katechizmu, wspólną modlitwę i śpiew kilku znanych im pieśni). Na Mszę Świętą przyszły ubrane w pożyczone białe sukienki, ale były one podarte i dlatego założyły je na swoje kolorowe, które też całe nie były. Nie było wianuszków, pamiątek, fotografa, gości, uroczystego obiadu, orkiestry, ani prezentów. W ciemnym mieszkaniu bez okna było kilkanaście osób, w których nikt nie przystąpił do Komunii Świętej. Jednak byliśmy szczęśliwi. Szczęście nie było zakłócone darami. I te dwie 13- i 15-letnia będą mogły mówić, że są pierwszymi katoliczkami w tej wspólnotcie. Na Mszy Świętej były też trzy ich koleżanki, które razem z nimi otrzymały medaliki rozpoczynając katechumenat, ale one przeszły do wspólnoty protestanckiej chcąc przypodobać się nauczycielowi. Czy żałowały? Widziałem, że składały gratulacje nowo ochrzczonej. Co będzie dalej, już nie będę wiedział. W tej wiosce też powiedziałem „do widzenia”, a dziewczętom dałem metryki Chrztu Świętego i mały obrazek - pamiątka Pierwszej Komunii Świętej. Obrazki będą nosiły w swoim śpiewniku, mają jeden, wspólny.

Po powrocie z ostatniego mojego obchodu pojechałem do Tamatawy i tam w dniu 4 października przeżyłem trzęsienie ziemi. Ja jednakże nie zauważyłem tego, gdyż w tym czasie jechałem samochodem ulicą asfaltową z dziurami. Dopiero w kilka minut później na Biskupstwie słuchałem podnieconych wyznań, co kto robił albo nie mógł zrobić. Ksiądz Biskup nie mógł założyć moskiety pod materac. Brat Jan chcąc się wytrzeć nie mógł uchwycić ręcznika... W tym czasie w wielu kościołach odprawiały się wieczorne Msze Święte i mówiono nam, że ludzie w popłochu opuścili kościoły w czasie ofiarowania. Podobno było to najsilniejsze trzęsienie

ziemi na Madagaskarze, ponad 3 stopnie, ale w naszym samochodzie jadącym nawet w mieście po dziurach w asfaltowych drogach jest zwykle około siedmiu stopni w dziesięciostopniowej skali Richtera.

Z Tamatawy wyjechaliśmy dwoma samochodami. Drugi land-rover należy do Księdza Biskupa, który do Mahanoro przyleciał samolotem, a stąd już w swoim samochodzie pojechał z Ojcem Raymond Jarnier, dwoma siostrami ze Zgromadzenia Córek Mądrości Bożej i licznymi podróżnymi, którzy korzystają z takich okazji. Pojechaliśmy do Marolambo nocując w Ambinanindrano. Droga nie odbyła się bez przygód. Na 25-ym kilometrze zatrzymaliśmy się przed sklepem, aby właścicielowi przekazać pewne wiadomości. Ja jechałem w pierwszym samochodzie Księdza Biskupa, ale drugi samochód pozostał i dopiero po sześciu kilometrach postanowiliśmy zaczekać na nich. Droga była łatwa i sucha. Przez dłuższy czas nie padało, więc nie było potrzeby obawiać się o wpadnięcie do jakiejś dziury. Niestety, dojechali do nas dopiero po trzech godzinach i tyle czasu Ksiądz Biskup siedział na dużych liściach w cieniu drzewa. Przez tak długi czas ojcom w naszym samochodzie nie udało się uruchomić silnika.

W dniu 9 października do Marolambo zajechaliśmy zmęczeni, szczególnie odczuł to Ksiądz Biskup. Był to nasz błąd, gdyż nie należało jechać tracąc z oczu drugi samochód. O tym obowiązku daliśmy się zmylić suchą drogą. Rekolekcje prowadził Ojciec Raymond, który pracował tutaj razem z nami do 1982 r. Dwie siostry zakonne mu pomagały. Tym razem były nie tylko Chrzty dorosłych i młodzieży, nie tylko Sakrament Bierzmowania, ale także po raz pierwszy w tej misji błogosławieństwo Jubilatów. Główna uroczystość miała miejsce w niedzielę, dnia 13 października. Ochrzczonych było 80 osób, bierzmowanych 84. My nie będziemy udzielać Sakramentu Bierzmowania, ale przynajmniej drugie tyle moi współpracownicy będą musieli ochrzcić w ich wioskach tych, którym było za trudno przyjść do Marolambo, niektórzy mają nawet setkę kilometrów.

W sobotę wieczorem, dnia 12 października, cztery pary małżeńskie obchodziły złoty jubileusz małżeństwa, a 27 par przynajmniej przez 25 lat żyło w małżeństwie katolickim. Takie błogosławieństwo jubilatów odbyło się po raz pierwszy w Marolambo. Na czas przyszło błogosławieństwo ze Stolicy Apostolskiej. Jak bardzo trzeba uważać przy organizowaniu takich uroczystości, świadczy pretensja jednego z moich katechetów, że nie otrzymał zaproszenia. Przecież on zawarł Sakrament Małżeństwa przed 29 laty, zaś jego żona przed 26 laty. Trudno im było zrozumieć, że do jubileuszowego błogosławieństwa nie mają prawa, gdyż ich prawowici „kościelni” współmałżonkowie żyją w założonych przez nich innych rodzinach, już niesakramentalnych. Niestety, w jego wspólnocie wśród katolików nie ma nikogo innego zdolnego prowadzić niedzielne spotkania modlitewne i on musi być katechetą, chociaż ani on, ani jego żona, do Komunii Świętej nie mogą przystępować. I dlatego takie wypadki trzeba tolerować na Madagaskarze, a Pan Bóg będzie sądził sprawiedliwie. Niejeden raz w życiu wyrwało mi się już dziękczynienie, że to nie ja będę musiał sądzić.

Podczas Mszy Świętej w piątek, dnia 11 października, dziękowaliśmy Zbawicielowi za ustanowienie Sakramentu Kapłaństwa z okazji 25-lecia moich święceń kapłańskich (26 czerwca 1960 r., to także dzień uzyskania niepodległości przez Madagaskar). Przygotowałem 500 obrazków, ale nawet połowa obecnych nie otrzymała pamiątki. Tyle osób nie spodziewaliśmy się na misji. Zakończyłem mój jubileusz, który rozpoczął się w Polsce jeszcze w czasie mojego zeszłorocznego urlopu, gdy świętowali swoje 25-lecie kapłaństwa koledzy kursowi. Spotkałem się z nimi podczas rekolekcji w naszym oblackim klasztorze Świętego Krzyża, koncelebrowałem w warszawskiej katedrze i jadłem obiad przygotowany przez księdza proboszcza w Raszynie.

Oprócz nabożeństw były też wielkie atrakcje. Karuzele dla dzieci zrobił Ojciec Roman. Były loterie, sprzedaż zeszytów, książek, innych drobiazgów. Była restauracja malgaska i płatny obiad (30% wartości) dla zaproszonych, a smakowite dania przygotował O. Stanisław. Nie zabrakło także deserów i to w stylu europejskim. Księdzu Biskupowi najbardziej smakowała wędzona kiełbasa z Ambinanindrano. Słynne stały się tamtejsze misjonarskie wyroby wędliniarskie.

Goście odjechali. Na Misji cisza, można spokojnie pakować swoje bagaże. Humor popsuła mi poczta. Pomimo stosownego upoważnienia danego siostronom Urszulankom znów otrzymałem w Marolambo 20 paczek, z których w dwóch poza opakowaniem nie było niczego. 10 paczek

zawierało zeszyty, właściwie małe notesy, a od takich przesyłek nie powinienem nic płacić. Znalazłem też nalepki z cła w języku czeskim przyklejone do listów z Polski albo z Węgier. Ktoś na poczcie ukradł paczkę, przykleił nalepkę do listu i mnie jeszcze kazał za to płacić. Mam zamiar napisać swoje uwagi do urzędu pocztowego w Tamatawie. Szkoda tylko, że wysyłający paczki nie pakują dobrze. Najlepiej zaszyć w ręcznik lub chusteczkę, a jeśli nie otrzymają ode mnie potwierdzenia odbioru w formie podziękowania, sami powinni reklamować. Ja nie wiem nawet, ile paczek ginie. Przesyłanie zeszytów, cukierków, czekolady, kawy czy herbaty jest także miłe, ale ... kawę my produkujemy, zaś z czekolady najwięcej pożytku mają szczury w magazynach pocztowych. Zeszyty są ciężkie, więc wolałbym ujrzyć lżejsze przedmioty przysłane za taką samą opłatę pocztową. Każda paczka jest dla mnie nie tylko znakiem pamięci, ale darem serca zwłaszcza, że te kilogramowe paczki przesyłają przeważnie dzieci oszczędzając „na czekoladzie” albo osoby wcale nie najzamożniejsze.

*Z serdecznym pozdrowieniem  
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej  
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Czy praca misjonarza jest potrzebna? Ludzie żyjący w kulturze kanibalizmu skutecznie zapobiegają głodowi lub przeludnieniu. W razie klęski żywiołowej lub innej zjadają kogoś spośród siebie i sprawa jest załatwiona. Przecież każda ideologia łącznie z katolicką uznaje wyższość dobra społecznego nad szczęściem indywidualnym. Misjonarz głoszący zakaz zabijania niszczy ten porządek i wprowadza poważne problemy, nieprawdaż?

\* \* \* \* \*